

WAKACJE

• STANLEY MIDDLETON •

Premiera: 28 września 2015

Wydawnictwo Wiatr od Morza

{ fragment 1 }

Wierni powstali, oddając cześć Pomazańcowi Pańskiemu. W wypolerowanych ławach rozbłysło światło. Słoje drewna zafalowały posępnie pod powłoką szelaku, roztaczając wokół splendor pracy ludzkich rąk. Mosiężne uchwyty na parasole lśniły wyczyszczone, lecz metalowym tabliczkom z nazwiskami wiernych pozwolono szernieć w zapomnieniu.

Edwin Fisher zerknął do swojego śpiewnika, wsłuchany w głos siedzącej obok kobiety. „Oto nadchodzi! – wieściła. – Śpieszy wesprzeć cierpiących! Pomóc biedę odeprzeć! Siłę dać słabnącym!” Jej śpiew przeszywał do głębi. Płynące swobodnie słowa sprawiły, że chłopiec i dziewczynka dwa rzędy przed nimi odwrócili głowy, wlepiając w nią wzrok. Matka łagodnie przywołała ich do porządku. Fisher nucił, nie otwierając przy tym ust.

Kościół miał grube, białe ściany. Jego wąskie, strzeliste okna wypełnione były osadzonymi w ołowiu, małymi, w miarę czystymi, romboidalnymi szybami. Nad głową Fishera rozpościerał się balkon, wsparty na metalowych filarach w błękitnej regencji. Uśmiechnął się w duchu: nie bez kozery w takich wiktoriańskich budowlach,

wznoszonych z myślą o kremowych odcieniach i ciemnych brązach, stosowano zwykle skromne kolory końca osiemnastego i początku dziewiętnastego wieku. Sąsiadka uniosła głowę, koncentrując uwagę na promieniach słońca jaśniejących we włosach małego chłopca, który, wsparty o matkę, usiłował wdrapać się na siedzenie, by dosięgnąć jej śpiewnika. „Miłość i nadzieja na jego ścieżce kwitną”.

Ogół zgromadzenia, jak to oceniał Fisher z tylnej ławy, stanowili w większości wierni w średnim lub podeszłym wieku. Przeważnie kobiety w kwiecistych kapeluszach, omotanych wstążką czepkach i płowych letnich płaszczach. Wczasowicze cieszący się wypełnionym kościołem, serdecznym śpiewem i obecnością lubianego pastora. Nie dostrzegł chóru jako takiego; ławki przed organami zajmowały dwie dziewczyny, starsza pani i siwy mężczyzna. Nie zachwyciło go to. O ile pamiętał, protestancki dysydyntyzm wymagał licznego, marudnego chóru z despotycznie podszeptującymi primadonnami, dopingującymi wiernych do zdyscyplinowanego i entuzjastycznego śpiewu. Najwidoczniej chórzystki były na wakacjach lub u siebie w pensjonatach, gdzie nakrywały do stołów bądź polewały pieczenie tłuszczem.

Smugi słońca, wypełnione unoszącymi się chaotycznie pyłkami kurzu, kładły się z ukosa sprawiając, że ożywione powietrze tańczyło z werwą między obszarami pozbawionej połysku czystości. Ostatnią strofę wierni wygłosili z wigorem, popędzając grzmiące organy, sławiąc Pana w jego przybytku. „Przymierza Jego zerwać nie zdoła czasu bieg – Imię Jego będzie trwać, Miłość po wieków wiek”. Cisza osiadła ciężko; duchowny poprawił włosy, befkę i rękawy togi. Tak przygotowany wygłosił błogosławieństwo, a gdy organista zaczerpnął haust powietrza po ostatnim „amen”, ludzie klapnęli na swoich ławach, osłaniając oczy prawymi dłońmi.

Edwin Fisher rozejrzał się dookoła.

Światło słoneczne raziło teraz tak, jak gdyby morze odbijało je z zewnątrz. Wierni posuwali się niemrawo, ściskając w dłoniach jedwabne szale i wymieniając pogodne uwagi przy akompaniamentach bachowskiego *Preludium B-dur* z cyklu *Ośmiu małych preludiów i fug*. Opuściwszy swoje miejsce w tylnej ławie, Fisher jako pierwszy znalazł się przy drzwiach, gdzie pastor, niższy i mniej imponujący niż

z wyniesienia swej ambony, uśmiechnął się i uściśnął mu rękę. Na zewnątrz światło wirowało, jak gdyby przez cały poranek szamoczący się wiatr podsycił drgania gorącego powietrza, które szkliło się teraz płomiennym blaskiem. Kościół metodystów. Matowe złote litery. Rano i wieczorem wielebny pastor J. Parkinson Dewes, M.A., B.D.

Na ulicach zalegała cisza.

Przypuszczalnie plażowicze udali się nad morze dwie godziny temu i nie zamierzali wracać na obiad. Współczesny wzorzec: śniadanie, do samochodu lub na plażę, powrót najwcześniej o szóstej, na wieczorny posiłek i telewizję. Tak więc chybione okazały się jego imaginacje o chórzystkach pochylonych nad gazowymi kuchenkami; może zatem ścierały kurze, skrobały góry ziemniaków, pielili ogrodowe alejki lub dawały wypocząć zmęczonym kościom przy lekturze niedzielnej prasy.

Choć słońce świeciło, na rogach ulic tego miasteczka na wschodnim wybrzeżu zacinął wiatr. Stojąc teraz na głównej drodze, Fisher obserwował otwarty sklep papierniczy, pełen stojaków z pocztówkami, czytań o krzykliwych okładkach, reklamówek z brytyjską flagą, wiader i łopatek. Uwielbiał to miejsce – zza zadaszonych, metalowych arkad sprawiało wrażenie, jakby rewolucja przemysłowa odpuściła, prezentując łagodniejsze oblicze. Uciekał tutaj w dzieciństwie: naiwny chłopiec, zbiegły od nudnych rodziców pośród kapeluszy panama i jaśniejących białą tenisówek, słuchający serdecznych pogawędek, zazdroszczący oznak szczodrości, zachwycony dziewczynami, zuchwały.

Gwizdząc, zawyrokował na niekorzyść plaży i skierował kroki do pubu.

Trzy minuty po dwunastej lokal był pusty, chwilowo przyciemniony i duszny. Barman, który stał w samej koszuli przed półkami pełnymi butelek i ich lustrzanych odbić, naciągnął marynarkę. Obsługiwał Fishera bez pośpiechu: nim odwrócił się do drugiego kontuaru, uczynił wzmiankę o pogodzie i temperaturze. Było tu tak spokojnie jak w kaplicy, choć barwniej, mniej harmonijnie; żadne miejsce kultu nie chełpi się pluszowym dywanem. Sącząc swoje *ale*, Edwin Fisher rozmyślał nad zbliżającym się popołudniem.

Najpierw musi coś zjeść, ale gdzie? Wybrać pasztecik z kielbaską przy piwie czy zasiąść przy białych obrusach i zastawie? Kiedy gościł tu w dzieciństwie, zawsze przy pierwszej wyprawie na plażę zahaczali na deptaku o krzesłkową wagę. Mgliście przypominał sobie dziecięcą irytację całą ceremonią: najpierw matka, potem on i jego siostra, w końcu ojciec. I wyniki – zapisywane na małych kartonikach, czemu towarzyszyło droczenie się starego z obsługą, gotową kłaniać się w pas za sześć pensów. Fisher pamiętał brunatną, małą twarz z białymi liniami zmarszczek pod oczami. A w sobotni poranek, smutny dzień exodusu, znów ustawiali się w kolejce, zapisywali nową wagę i odejmowali od niej początkową z nadzieją na wynik dodatni.

Dziś wszyscy się odchudzają, wysysają owoce, skubią steki, unikają lodów i piwa. W tamtych czasach reglamentacji słusznym było przytyć; być grubym, oznaczało być zdrowym. Fisher pomyślał o ojcu, chudym jak szczapa, machającym na siedzisku wagi obutymi w tenisówki stopami, jęczącym: „Dołóż jeszcze funt, na miłość boską, bo pomyślą, że usycham” – zaraz padłaby szelmowska riposta jego przysłaniającej usta dłonią żony: „Nie, Arthur, robisz tyle hałasu, że na pewno tak nie pomyślą”.

Wtedy Edwin nienawidził rodziców za to, że są sklepikarzami. Służalczy, niewykształceni żartownisie z paluchami zatłuszczonymi od miedziaków ze sklepowej kasy notorycznie zwracali na siebie uwagę. Kiedy służący oprowadzał motłoch po pałacu, to właśnie Fisher-senior zadał pierwsze głupie pytanie i wypalił prostackim dowcipem, po czym doczekał się powściągliwej odpowiedzi przewodnika, kryjącej dezaprobatę jawną dla wszystkich prócz ojca: „Nie, proszę pana. Z całym szacunkiem, proszę pana, nie sądzę, by w tym przypadku miało to miejsce”. Niemniej stary idiota był całkiem cwany; potrafił zarabiać na sklepach i zostawił dzieciom sporą sumkę. No i czytał, choć wprowadzie – jak osądził młody Edwin – skupiał się wyłącznie na błahostkach.

– Czy wiedziałeś, mój Edwinie, że Beethoven robił tabliczki mnożenia na łożu śmierci?

– Nie.

– Ano robił. Tak tu piszą.

– Co mają na myśli przez „robił”? – chłopiec został zmuszony do zawoalowania swych obiekcji.

– Robił? – Ojciec zerknął do periodyku, a może bibliotecznej książki. – Nie piszą... Nauczył się. Wydaje mi się, że ich używał.

Powracał do wertowania. Żadnej refleksji na temat muzyki. Jedy-
nym utworem Beethovena, jaki rozpoznawał, był *Menuet G-dur*,
plumkany na pianinie przez Tinę. Gdy Edwin słuchał koncertów
w radio, stary narzekał.

– Nie możesz tego przyciszyć? Wwierca się w mózg. Gołym
okiem widać, że nie napracowałeś się dzisiaj, inaczej dość miałbyś
tego jazgotu.

– To Beethoven.

– Nic dziwnego, że ogłuchł.

Fisher nigdy nie rozgryzł poglądów ojca na edukację, a i teraz
niewiele z nich rozumiał. Obie pociechy posłano na studia, pomimo
narzekań Arthura na związane z tym koszty. Nie wyglądało również,
żeby zazdrościł im zdobytej wiedzy. W swoim umyśle przekupnia gro-
madził skrawki informacji, którymi z lubością zaginał potomstwo,
lecz nigdy nie podjął próby uporządkowania lub usystematyzowania
wiedzy. Zdaniem syna – wygłaszał je w chwilach rozdrażnienia – ulu-
bioną lekturą ojca był zbiór dziecięcych encyklopedii.

– Czemuż by nie? – odpowiadał wtedy Arthur. – Kto szuka, nie
błądzi.

Matka z powodzeniem nadążała za ich tokiem kształcenia
i z łatwością odnajdywała się w rozmowach o poziomie podstawowym
i rozszerzonym, egzaminach na uniwersytety, weryfikacji ocen
i kursach ukończonych z wyróżnieniem. Kiedy teraz o tym myślał,
zastanawiało go, jakież to obraz ukrywał się za trafnie dobieraną
frazologią Elsie Fisher. Nigdy nie potrafił jej przejrzeć, również za
jej życia. Nieskrępowana, pogodna, można by pomyśleć – pozba-
wiona ambicji, czy to towarzyskich, czy intelektualnych, zaganiała
męża do gromadzenia pieniędzy, a dzieci do nauki. Uczęszczała
regularnie z całą rodziną do kościoła metodystów przy Vane Street,
nigdy nie wspominając o Bogu ani nie afiszując się przed bliskimi
na klęczkach z modlitwą o przewodnictwo. Skryta, żyła otwarcie;

prosta kobieta obsługująca w sklepie, która jednocześnie odmówiłaby objęcia nawet najmniej wymagającego stanowiska w kościele, a dzieci i męża stłamsiła do tego stopnia, że ośmielali się informować ją tylko o sukcesach. I chociaż nigdy nie była wylewna w pochwałach, nauczyli się odczytywać znak aprobaty w zmrużeniu oczu i powolnym skinięciu głowy. Czasem mawiała, tak jak wtedy, gdy Tina zdała do liceum:

- Na twoim miejscu, Arthurze, dałabym im pół korony.
- Obydwójgu? – udał oburzenie.
- Nauczą się cenić siebie nawzajem.
- No więc jak Ted nabroi – powiedział Arthur jowialnie – będę musiał, według tej rachuby, jednemu i drugiemu dać klapsa.
- Skoro to, co osiągnęła, nie jest dla ciebie warte pięciu szylingów, to ich nie dawaj. Wyskrobię z domowego budżetu.
- I odbijesz sobie na moich herbatkach. – Uśmiechnął się pod wąsikiem a'la Chaplin.

Nieodmiennie sięgał do kieszeni.

Wracając myślami do tamtych czasów, trzydziestodwuletni Edwin Fisher musiał przyznać się do emocjonalnej niedojrzałości, znów bowiem poczuł zażenowanie, wstyd, nieustannie dręczące go pragnienie bycia gdzie indziej lub w innym ciele. Dziś trudno było mu w duchu odmówić rodzicom pewnych cnót: obydwójce z zapalem oddawali się pracy, obydwójce również żywili do swoich dzieci głęboką miłość, której nie potrafili okazać wspinającym się w hierarchii społecznej, byстрыm latoroślom. Dostrzegał to teraz, gdy już nie żyli, i choć życzyłby sobie innego podejścia, nie potrafił poddać ich trzeźwej ocenie. Być może to z nim było coś nie tak. Spotkawszy swoją siostrę – lekarzkę poślubioną lekarzowi – na powrót zaczynał odgraczać się murem, jak gdyby dzielili jakiś sekret, wrogość naznaczoną desperacją. Ona co prawda nie przyznałaby tego otwarcie; chłodna, szykowna, roztropnie wycofana, przyjmowała jego zaczepki z rozbaawieniem, jednak wystarczyło, by spędzili razem więcej niż trzydzieści sześć godzin, a zaczynali się kłócić – bez wyraźnego powodu, raczej z głęboko zakorzenionego przyzwyczajenia. Uznał, że wciąż walczą o względy rodziców.

Za jego plecami z otwartego okna dobiegały dziecięce krzyki i podniesiony, przenikliwy głos dorosłego. Zciekawiony, koniec końców postanowił nie dochodzić przyczyny i pozostał na miejscu. Podejmowanie decyzji, gdy jest już po wszystkim – to jego domena. Wysączył do dna piwo, zamienił jeszcze trzy słowa z barmanem, gdy ten wrócił wymachując latarką, ocenił połysk obuwia i zebrał się do wyjścia. Obejdzie się bez obiadu, kupi funt jabłek, pospaceruje... chociaż – w niedzielę? W lecie nad morzem wszystko da się kupić. Obierając kurs na plażę, wkroczył w światłość dnia.

W chwili, gdy pod jego stopami miejsce chodnika zajął miętki, zaśmiecony papierkami piasek, zrozumiał, że oto znalazł się tam, gdzie wcale być nie chce. Plaża nie ma mu nic do zaoferowania prócz tych rozległych połaci miałkiego pyłu, prócz tego płytkiego morza oddalonego o dziesięć minut spacerem, prócz ludzi na leżakach, na kocach, za krzykliwymi parawanami, roznegliżowanych i czerwonych, wygrzewających w słońcu naoliwione ciała. Zdjąłby buty, podwinął spodnie i zaczął komicznie brodzić w wodzie, jak to zwykł robić jego ojciec przed dwudziestu laty. Staruszek, nawet gdy taplał się przy brzegu, nie zdejmował filcowego kapelusza. Zachowywał powagę, wzbudzając śmieszność. Nonsens. Arthur Fisher nie dostrzegał niczego niestosownego w swoim zachowaniu, bo i niczego niestosownego w nim nie było – problem istniał jedynie w umyśle jego krnąbrnego syna.

Edwin usiadł, wytrzepał buty, założył je z powrotem. Oto rozsiadł się mężczyzna, który odszedł od swojej żony – o ile to właściwe słowo – nadając sobie tym samym prawo do teatralnych zachowań, do emocjonalnej ekstrawagancji – prawo, które jego osobowość skrzętnie wykorzystwała, narzucając mu odegranie błazenady znanej z popisów ojca. Wstał, obciągnął kurtkę, klepiąc się po kieszeniach uprzytomnił sobie, że zapomniał o jabłkach i ruszył na deptak.

Pomimo wiatru słońce mocno grzało przez ubranie. Ni stąd, ni zowąd ruszył różnym krokiem, wyprostował się, nabrał optymizmu. Poczuł chęć, by z kimś porozmawiać, wymienić parę popołudniowych banałów. Na drodze prowadzącej na plażę, zasłanej naniesionym piachem, zrobiło się gęsto od falujących

kiecek, wyprężonych klatek piersiowych, rodzin snujących plany. Jednak nikt nie palił się do rozmowy z Fisherem. Nie pojawił się żaden brudny, starszy jegomość, który, ciągnąc za sobą prochowiec, mamrotałby coś pod wąsem z zamiarem wyżebrania zapalki, peta czy równowartości flaszki. Ludzie nie spoufalali się ze sobą. Kobieta jazgocząca o swoich oparzeniach słonecznych stanowiła w tym względzie wyjątek.

Uchwyciwszy swoje odbicie w sklepowej witrynie, przystanął, aby podziwiać prężną posturę, gęste włosy, wytworny nos, delikatne ręce. Nie pozował długo, ale ta chwila dobrze mu zrobiła. Przez tuzin następnych kroków czuł się kimś, osobą godną uwagi, aczkolwiek w mijanym tłumie nie wzbudzał sensacji.

Przespaceruje się deptakiem, przejedzie autobusem, kupi książkę i poczyta ją sobie w altance przy nadmorskim bulwarze. Na wakacjach. Wolny człowiek. Nieobciążony małżeństwem, wolny od dzieci. Dziecka. Zaklął wściekle i siarczyście, wydawało mu się, że na głos, lecz nikt nie usłyszał, nie zwolnił kroku, nie spojrzął za siebie, nie okazał dezaprobaty.

– Spieprzaj.

Usłyszawszy to, stanął. Odzywka padła z ust czerwonego na twarzy mężczyzny. Jego rozmówca tylko wzruszył ramionami. Obaj odziani w prochowiec. Obaj sprawiali wrażenie trzeźwych. Dłonie skrywali w kieszeniach – można by pomyśleć: rzemieślnicy w średnim wieku, nieszukający zwady. Jeszcze dziesięć sekund temu, sześć jardów stąd, Fisher nie zwrócił na nich uwagi, lecz teraz zajadłość, z jaką wygłoszono zniewagę, jakby spowołniła przemarsz tłumy.

– Słyszałeś, co powiedziałem.

Wyraz twarzy drugiego mężczyzny nie uległ zmianie. Przejawiał co najwyżej względne zainteresowanie, bez oznak zażenowania czy przestachu. Przytaknął, posłał przez chwilę koniuszek kciuka i odparł:

– Rób jak chcesz.

– Taki właśnie mam zamiar.

Żaden z nich nie drgnął. Wokół ludzie stali w bezruchu; poza ich kręgiem roztrzępotane kiecki i nogawki zwiewało w kierunku

morza. Pierwszy z mężczyzn wykonał zamaszysty obrót w nieporadnym geście złości, wpadając przy tym na Fishera, wymamrotał jakieś przekleństwo, a może przeprosiny, przepchnął się i odszedł, wciąż coś bełkocząc. Drugi wyjął ręce z kieszeni i najspokojniej w świecie ruszył w stronę miasta. Z braku innych zajęć Fisher podążył w ślad za nim. Po przejściu stu jardów mężczyzna wrzucił list do skrzynki i schylił się, by odczytać godziny, w których ją opróżniano. Ta prozaiczna czynność zaskoczyła Fishera, który nie spodziewał się równie trywialnych działań po kimś, kto ściągnął na siebie uwagę w miejscu publicznym. Czy złożył jakąś lubieżną propozycję? A może pokornie o coś błagał? Czy panowie znali się wcześniej, a co za tym idzie, czy ich wymiana zdań wynikała z uprzednich kłótni?

Fisher zrównał się z mężczyzną.

Kroczyli Carlin Avenue – ulicą niemal opustoszałą. Wokół kwitły lipy; w oknach po nasłonecznionej stronie zaciągnięto zasłony. Cisza pełna życia.

- Piękny mamy dzień – odezwał się Fisher.
- Aha. – Stosunkowo życzliwe odburknięcie.
- Wiaterek chłodnawy.
- Hmm.

Obydwa dźwięki zabrzmiały dość przyjaźnie, stojąc w sprzeczności z wcześniejszym wybuchem agresji. Mężczyzna został w tyle, a Fisherowi nie wypadało się teraz zatrzymać. Gdy spojrzał za siebie, tamten zapalił papierosa, a chwilę później zniknął w jednym z budynków. Z kwaśną miną, drwiąc i pokpiwając z samego siebie, Fisher wybrał drogę na przełaj do głównej ulicy handlowej, stamtąd zaś skierował się na deptak. Tutaj szło mu się już rażniej. Zaczął rozpamiętywać poranną wizytę w kaplicy. Wmawiał sobie, że nie ma w nim ni wiary, ni nostalgii. To szczeniacka ciekawość najpierw go tam przywiodła, a następnie zawiodła, gdyż ostatecznie nie dopatrzył się u siebie żadnej reakcji. Teraz już nie pamiętał, czego oczekiwał... czego ktokolwiek mógłby oczekiwać. Chodziła za nim pewna strofa, nie dając spokoju.

Czy we mnie wzlot anielski, czy garść prochu szara,
Na wszystkim dłonie Twoje się położą:
Moc Twa i miłość, miłość ma i wiara
Jeden świat wszędzie tworzą¹.

Wyrecytował wersy na głos; wygłosił je powtórnie, dostosowując krok do ich rytmu. Targani wiatrem, rozpromienieni ludzie mijali go, to posyłając spojrzenia, to ignorując. Pomyślał: „George Herbert” – i zamarzył o równie silnych przekonaniach. W siedemnastym wieku Edwin Fisher zapewne miałby wiarę, acz pełną pretensji, pozbawioną złudzeń i wyznawaną potakiwaniem przez bynajmniej niefruwającego z aniołami zgorzknialca. Zatem Herbert.

Nagle smagnięcie wiatru porwało kapelusz jednemu z ojców rodziny, zaś Fisher, którego aż obróciło, zaśmiał się – w głos, bez zahamowania, jakby w nim samym zahuczało wietrzysko. Puścił się wówczas biegiem, złapał wirujący kapelusz za rondo i zwrócił go właścicielowi. Oddalił się rozweselony.



¹ Fragment wiersza *Równowaga (I)* w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Wiatr od morza to...

*zapach kanadyjskich lasów
gwar angielskich portów
piaski Afryki
ostra woń chłodnego, arktycznego powietrza
okrzyki rybaków zarzucających sieci
smak soli w ustach*



...gdańskie wydawnictwo założone przez Michała Alenowicza,
miłośnika książek i tłumacza literatury anglojęzycznej.

Wyszukujemy dla Państwa wyjątkowe i wręcz magiczne książki – prawdziwe rarytasy światowej literatury. Nieraz są to zapomniane i nigdy nie tłumaczone na język polski dzieła, nagradzane przed laty prestiżowymi nagrodami, innym razem niezwykle powieści wciąż nieodkrytych w Polsce pisarzy młodego pokolenia. Lubimy wyobrażać sobie, że sprowadzając je do Polski stajemy się niczym dawni gdańscy kupcy, zaopatrujący niegdyś kraj w egzotyczne przyprawy i drogie tkaniny. Niech i dziś z prastarego nadbałtyckiego portu płynie to, co dodaje życiu smaku – wyjątkowa, poruszająca wyobraźnię literatura na najwyższym poziomie.



fot. Magdalena Alenowicz

www.wiatrodmorza.com